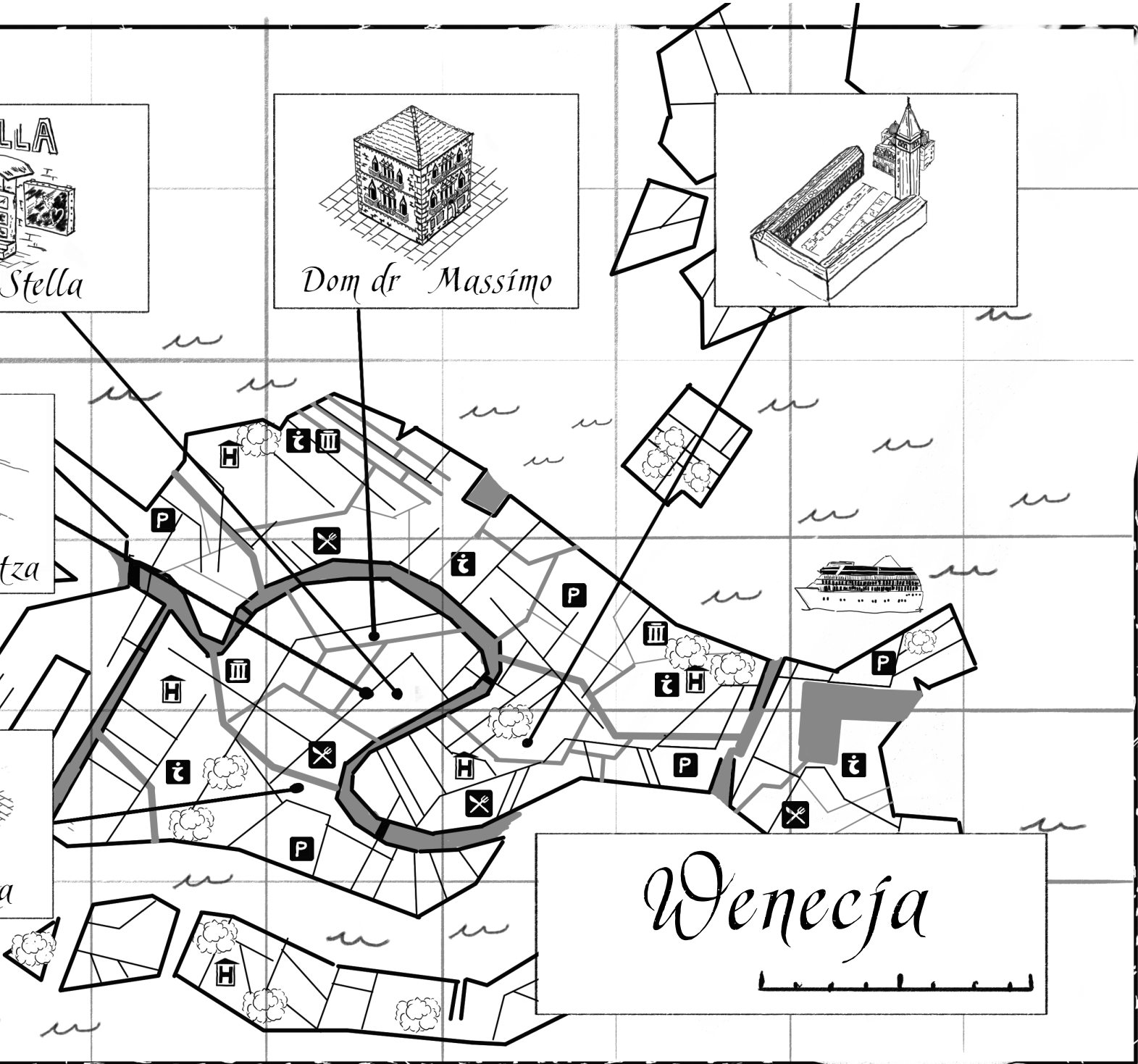
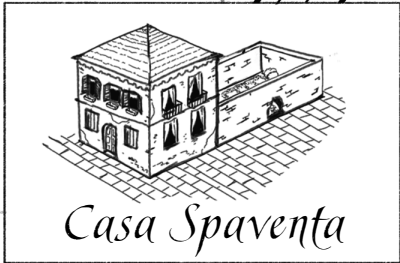
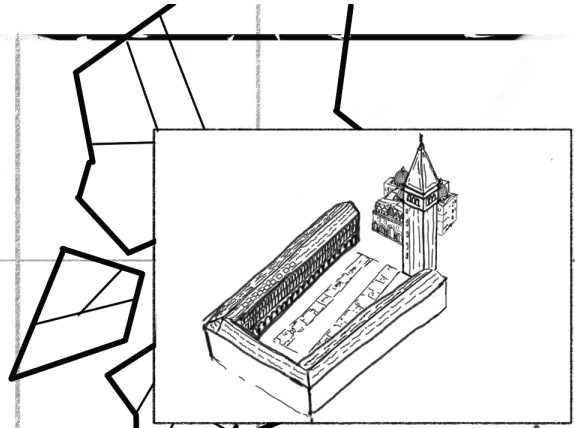
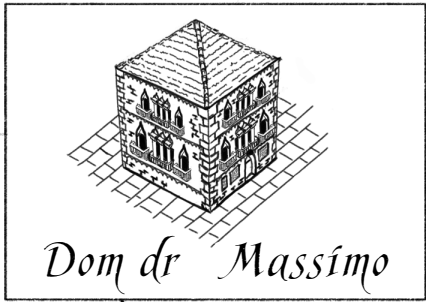


CORNELIA  
FUNKE

KRÓL  
ZŁODZIEI

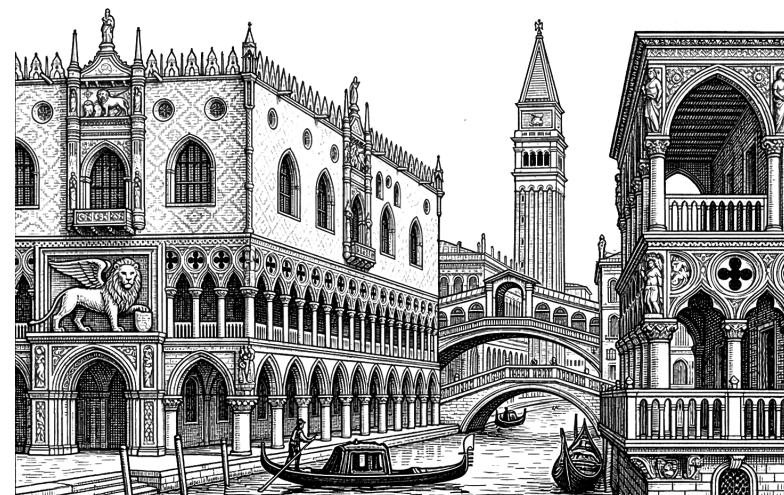


CORNELIA  
FUNKE  
KRÓL  
ZŁODZIEI

Tłumaczenie z języka niemieckiego  
Anna i Miłosz Urbanowie

**KROPKA**

DLA ROLFA  
I BOBA HOSKINSA,  
KTÓRY WYGLĄDA DOKŁADNIE  
JAK WIKTOR



*Dorośli nie pamiętają, jak to jest być dzieckiem.  
Naprawdę nie pamiętają, wierz mi.  
Zapomnieli, o ile większy wydawał się wtedy świat.  
Jak trudno było wdrapać się na krzesło.  
I jak to było zawsze patrzeć do góry.  
Zapomnieli. Już tego nie wiedzą.  
Ty też zapomnisz.  
Czasem dorośli opowiadają, jak to było pięknie być dzieckiem.  
Nawet marzą o tym, by znów nim być.  
Ale o czym marzyli, będąc dziećmi?  
Jak myślisz?  
Sądzę, że marzyli o tym, by w końcu dorosnąć.*



## *Klienci Wiktora*

**G**dy Wiktor po raz pierwszy usłyszał o Prosperze i Bo, w księżycowym mieście była jesień. Słońce odbijało się w kanałach i zalewało stare mury złotem, ale od morza wiał lodowaty wiatr, jak gdyby chciał przypomnieć ludziom o zbliżającej się zimie. W powietrzu czuło się już przedsmak śniegu, a jesienne słońce ogrzewało tylko skrzydła aniołom i smokom na dachach.

Dom, w którym Wiktor mieszkał i pracował, stał nad samym kanałem; tak blisko, że woda chlupotała o mur. Czasami w nocy śniło się Wiktorowi, że dom wraz z całym miastem zalewają fale. Że morze zmyło tamę, która trzymała Wenecję przy stałym lądzie jak skrzynię złota na cienkiej nitce, i wszystko pochłonęło: domy i mosty, kościoły i pałace, które ludzie w swej arogancji zbudowali na jego terytorium. Ale na razie wszystko stało pewnie na swych drewnianych nogach, a Wiktor, oparty o parapet, wyglądał przez zakurzoną szybę.

Żadne inne miejsce na ziemi nie mogło tak bezwstydnie chełpić się swym pięknem jak księżycowe miasto, gdzie

konkurowały ze sobą rozświetlone słońcem szczyty wspinających budowli, łuki, kopuły i wieże. Pogwizdując, Wiktor odwrócił się od okna i stanął przed lustrem. „Doskonała okazja, by wypróbować nowe wąsy”, pomyślał, czując ciepło słońca na szerokim karku. Dopiero wczoraj kupił tę niezwykłą ozdobę: ogromne wąsiska, tak ciemne i krzaczaste, że nawet sum mógłby ich pozazdrościć. Ostrożnie przykleił je pod nosem, stanął na palcach, by dodać sobie nieco wzrostu, obrócił się w lewo, potem w prawo... i tak zapatrzył się w swoje odbicie, że kroki usłyszał dopiero wtedy, gdy ucichły przed jego drzwiami. Klienci. Cholera. Dlaczego właśnie teraz muszą mu przeszkadzać?

Z westchnieniem siadł za biurkiem. Za drzwiami słychać było jakieś szepty. „Pewnie podziwiają moją tabliczkę”, pomyślał. Istotnie była niezwykła – czarna i błyszcząca, z wrytym złotymi literami napisem: Wiktor Getz, detektyw. Śledztwa każdego rodzaju. Do tego w trzech językach – w końcu trafiali tu także klienci z zagranicy. A kołatkę obok tabliczki, głowę lwa z mosiężnym kółkiem w pysku, zdążył właśnie tego ranka wypolerować. Na co czekają?! Wiktor niespokojnie zabębnił palcami w poręcz krzesła.

– *Avanti!* – zawołał w końcu niecierpliwie.

Drzwi otworzyły się i do biura Wiktora, które równocześnie było jego mieszkaniem, weszli mężczyzna i kobieta. Podejrzliwie rozejrzeli się dookoła, zmierzyli wzrokiem kaktusy, wieszak na czapki, kapelusze oraz peruki, zbiór wąsów, wiszący na ścianie ogromny plan miasta i skrzydlatego lwa na biurku, który służył za przycisk do listów.

– Czy mówi pan po angielsku? – całkiem płynnie po włosku zapytała kobieta.

– Oczywiście! – odpowiedział Wiktor, wskazując jednocześnie krzesła przed biurkiem. – Angielski to mój ojczysty język. W czym mogę państwu pomóc?

Dość niepewnie zajęli miejsca. Mężczyzna z ponurą miną skrzyżował ręce na piersiach, a kobieta dziwnie wpatrywała się w twarz Wiktora.

– Och, to? To mój nowy kamuflaż! – wyjaśnił, odklejając wąsy. – W moim zawodzie to konieczność. Ale czym mogę państwu służyć? Coś państwu skradziono, coś się zgubiło, uciekło?

Kobieta bez słowa sięgnęła do torebki. Wiktor zdążył już zauważyć, że klientka ma popielatoblond włosy i spiczasty nos, a jej usta wyglądają tak, jakby rzadko pojawiał się na nich uśmiech.

Mężczyzna zaś był prawdziwym olbrzymem, przynajmniej o dwie głowy wyższy od Wiktora. Z nosa złuszczała mu się spalona słońcem skóra, a oczy miał małe i bezbarwne. „Pewnie też nie ma poczucia humoru”, pomyślał Wiktor i zapisał sobie twarze obojga w pamięci. Nie pamiętał zwykle numerów telefonów, ale za to twarzy nie zapominał nigdy.

– Coś nam zginęło – powiedziała kobieta i przesunęła w jego kierunku zdjęcie.

Z fotografii spoglądali na niego dwaj chłopcy – mały blondynek, uśmiechnięty od ucha do ucha, i starszy, ciemnowłosy, o poważnym spojrzeniu. Starszy obejmował młodszego ramieniem, jakby chciał go chronić przed całym złem tego świata.

– Dzieci? – Wiktor spojrzał na nich zdziwiony. – Już niejedno musiałem wytropić: bagaże, mężów, psy, zbiegłe jaszczurki, ale jesteście pierwszymi klientami, którzy

przychodzą do mnie, ponieważ zgubili dzieci, państwo... –  
Obrzucił oboje pytającym spojrzeniem.

– Hartliebowie – odpowiedziała kobieta. – Estera i Max  
Hartliebowie.

– I to nie są nasze dzieci – oświadczył mężczyzna.

Jego spiczastonosą żona rzuciła mu rozgniewane spoj-  
rzenie.

– Prosper i Bonifacy są synami mojej zmarłej siostry –  
wyjaśniła. – Sama wychowywała chłopców. Prosper właśnie  
skończył dwanaście lat, a Bo ma pięć.

– Prosper i Bonifacy – mruknął Wiktor. – Niecodzienne  
imiona. Czy Prosper nie znaczy „szczęśliwy”?

Estera Hartlieb zmarszczyła czoło z irytacją.

– Doprawdy? Cóż, delikatnie mówiąc, to dziwaczne  
imiona. Ale moja siostra miała skłonności do dziwactw. Gdy  
trzy miesiące temu nagle zmarła, oboje z mężem natychmiast  
wystąpiliśmy o prawo do opieki nad Bo, ponieważ sami nie  
mamy dzieci. Nie mogliśmy jednak wziąć do siebie jego  
starszego brata. Każdy by to zrozumiał, ale Prosper strasz-  
nie się zdenerwował. Zachowywał się jak szalony! Krzyczał,  
że chcemy mu ukraść brata! A przecież mógłby go odwiedzać  
raz w miesiącu! – Twarz kobiety stała się jeszcze bledsza.

– I osiem tygodni temu uciekli – podjął Max Hartlieb. –  
Z domu dziadka w Hamburgu, gdzie tymczasowo mieszkali.  
Prosper jest zdolny namówić swojego brata do każdego  
głupstwa i wszystko wskazuje na to, że zaciągnął Bo właśnie  
tutaj, do Wenecji.

Wiktor z niedowierzaniem uniósł brwi.

– Z Hamburga do Wenecji? To długa droga dla takich ma-  
łych dzieci. A czy zwrócili się już państwo do tutejszej policji?

– Naturalnie! – Estera Hartlieb aż sapnęła z oburzenia. –  
Służyli wszystkim, tylko nie pomocą. Nic nie zrobili, a przecież  
co to za problem odnaleźć dwoje dzieci, które bez matki...

– Ja, niestety, muszę już iść, pilne sprawy zawodowe –  
przerwał jej mąż. – Dlatego chcielibyśmy zlecić panu, panie  
Getz, dalsze poszukiwanie chłopców. Portier w naszym  
hotelu polecił nam pana usługi.

– To miło z jego strony – burknął Wiktor, bawiąc się  
sztucznymi wąsami, które leżały na biurku, wyglądając ni-  
czym zdechła mysz. – Ale skąd mają państwo pewność, że  
chłopcy przybyli do Wenecji? I po co? Chyba nie po to, żeby  
przejechać się gondolą...

– To wina ich matki! – Estera Hartlieb zacisnęła usta  
i zwróciła wzrok w stronę brudnej szyby okiennej. Na po-  
ręczcy balkonu siedział bez ruchu gołąb, kłębek piór targany  
wiatrem. – Moja siostra bez przerwy opowiadała chłopcom  
o tym mieście. Że są tu skrzydlate lwy i kościoły ze złota,  
że na dachach stoją anioły i smoki, a po schodach przy ka-  
nałach wychodzą nocami wodniki, by pospacerować po łą-  
dzie. – Estera z oburzeniem pokręciła głową. – Moja siostra  
umiała opowiadać w taki sposób, że czasami nawet ja byłam  
gotowa jej uwierzyć. Wenecja, Wenecja, Wenecja! Mały Bo  
ciągle malował skrzydlate lwy, a Prosper dosłownie chłonał  
każde słowo matki. Pewnie myślał, że jak tu przyjadą, trafią  
prosto do krainy baśni! Mój Boże. – Zmarszczyła nos i z po-  
gardą spojrzała w okno, na domy, z których odpadał tynk.

Jej mąż nerwowo poprawił krawat.

– Wiele nas kosztowało, panie Getz, podążanie śladem  
tych chłopców – powiedział. – A oni są tutaj, zapewniam  
pana. Gdzieś...

– ...w tym bałaganie – dokończyła Estera Hartlieb.  
– Cóż, przynajmniej nie ma tu samochodów, pod które mogliby wpaść – mruknął Wiktor, spoglądając na plan miasta, z całą gmatwaniną uliczek i kanałów. Po chwili znów się odwrócił i w zamyśleniu zaczął nożykiem do papieru kreslić coś na blacie biurka.

Zniecierpliwiony Max Hartlieb odchrząknął.

– Panie Getz, przyjmie pan to zlecenie?

Wiktor raz jeszcze popatrzył na zdjęcie, na dwie tak różne twarze – na poważną minę starszego i beztroski uśmiech młodszego chłopca – i skinął głową.

– Tak, przyjmę – odpowiedział. – Już ja ich odnajdę. Rzeczywiście wyglądają na zbyt młodych, by żyć na własną rękę. Czy państwo też kiedyś w dzieciństwie uciekli z domu?

– O mój Boże, nie! – Estera Hartlieb spojrzała na niego z osłupieniem, a jej mąż tylko pokręcił głową.

– A ja tak. – Wiktor przycisnął zdjęcie chłopców skrzydlatym lwem. – Ale sam. Niestety, nie miałem brata. Ani młodszego, ani starszego... Proszę mi zostawić swój adres i numer telefonu. A teraz przejdźmy do kwestii mojego honorarium.

Gdy Hartliebowie przeciskali się na dół wąskimi schodami, Wiktor wyszedł na balkon. Podmuchał zimny wiatr, który poczuł na twarzy, przywiał zapach morskiej soli. Oparty o porzewiałą balustradę, Wiktor patrzył, jak dwa domy dalej jego klienci wkroczyli na most rozpięty ponad kanałem. Był to wyjątkowo ładny most, ale oni chyba tego nawet nie dostrzegli. Z pochmurnymi minami przebiegli po nim, nie zwracając też uwagi na zjeżonego psa, który oszcze kiwał ich z przepływającej łodzi. Oczywiście nie splunęli też do wody, jak zwykł to zawsze czynić Wiktor.

– No tak, ale kto mówi, że trzeba lubić swoich zleceniodawców! – mruknął i pochylił się nad kartonowym pudłem z dwoma żółwiami, które wyciągały w jego kierunku pomarszczone szyje. – Tacy rodzice są zawsze lepsi niż żadni, prawda? Co o tym myślicie? A tak w ogóle, czy żółwie mają rodziców?

Wiktor ogarnął zamyślonym spojrzeniem kanał i domy, których kamienne podmurówki dzień i noc obmywała woda. Mieszkał już w Wenecji ponad piętnaście lat, ale wciąż jeszcze nie poznał wszystkich zakątków miasta. Nikt ich zresztą nie znał. Nie będzie łatwo znaleźć dwóch chłopców, którzy wcale nie chcą być znalezieni. Tyle dróg, tyle zakamarków, wąskie uliczki, których nazw nikt nie może spamiętać, a często też w ogóle bez nazwy; zabite deskami kościoły, opustoszałe domy. To wszystko wręcz prowokuje do zabawy w chowanego.

„Co tam, zawsze chętnie się w to bawiłem”, pomyślał Wiktor, „i jak dotąd każdego znalazłem”. Osiem tygodni już jakoś sobie radzą. Mój Boże. Kiedy on uciekł z domu, wytrzymał tę swoją wolność zaledwie jedno popołudnie. Po zapadnięciu ciemności skruszony, z bijącym sercem powrócił do domu.

Żółwie skubały liść sałaty, który im wrzucił.

– Chyba na noc muszę was wnieść do domu – stwierdził. – Ten wiatr jakoś pachnie zimą.

Lando i Paula spoglądały na niego oczami pozbawionymi rzes. Czasem mylił je, ale chyba nic sobie z tego nie robiły. Znalazł je na targu, gdzie szukał perskiego kota. Wytworną kocią damę wyłowił z beczki śmierdzących sardynek i natychmiast wsadził do kartonowego pudła, unikając w ten

sposób jej ostrych pazurków. I wtedy właśnie zobaczył dwa żółwie, niewzruszenie kroczące pomiędzy stopami ludzi. Dopiero gdy je podniósł, schowały się ze strachu w swoje pancerze.

„Gdzie zacząć poszukiwania tych chłopców”, zastanawiał się Wiktor. „W sierocińcach? Szpitalach? Smutne miejsca, ale chyba mogę sobie to darować. Hartliebowie już pewnie tam sprawdzili”.

Wychylił się za balustradę i splunął do ciemnego kanału.

„Prosper i Bo. Naprawdę ładne imiona”, pomyślał, „nawet jeśli trochę dziwne”.



## *Troje dzieci*

*H*artliebowie mieli rację. Prosperowi i Bo rzeczywiście udało się dotrzeć do Wenecji. Jechali i jechali, dnie i noce spędzając w turkoczających pociągach, chowając się przed konduktorami i ciekawskimi starszymi paniami. Zamykali się w cuchnących ubikacjach i spali w ciemnych kątach, przytuleni do siebie, głodni, zmęczeni i przemarznięci, ale jednak udało im się i ciągle byli razem.

W chwili gdy ich ciotka Estera siedziała właśnie przy biurku Wiktora, stali oparci o drzwi wejściowe do pewnego domu, tylko kilka kroków od Mostu Rialto. Im też zimny wiatr dmuchał w uszy i szeptał, że to już koniec ciepłych dni. Ale w jednym Estera się myliła. Prosper i Bo wcale nie byli sami. Towarzyszyła im dziewczynka, szczupła, o brązowych włosach, zaplecionych w sięgający jej do pasa, cieniutki jak żądło warkocz. Właśnie jemu zawdzięczała swoje przezwisko – Osa. Na żadne inne imię w ogóle nie reagowała.

Ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w pogniecioną kartkę papieru, podczas gdy przepychający się do wyjścia ludzie uderzali ją w plecy wyładowanymi po brzegi torbami.

– Chyba mamy już wszystko – powiedziała cichym, lekko zachrypniętym głosem, który Prosper od razu polubił, nawet gdy jeszcze nie rozumiał ani słowa w tym obcym języku. – Jeszcze tylko baterie dla Moski. Gdzie możemy je dostać?

Prosper odgarnął włosy z czoła.

– W ulicze z tyłu widziałem sklep elektroniczny – powiedział, nastawiając młodszemu bratu kołnierz kurtki; zauważył, że Bo z zimna aż kuli ramiona. Po chwili przepychali się już przez tłum.

Tego dnia przy Rialto odbywał się targ i w okolicznych zaułkach panował jeszcze większy ruch niż w zwykłe dni. Starzy i młodzi, mężczyźni, kobiety i dzieci, tutejsi mieszkańcy i przyjezdni, przybyli tylko na jeden dzień, przepychali się wśród straganów, objuczeni torbami i siatkami. Pachniało rybami, jesiennymi kwiatami i suszonymi grzybami.

– Osa? – Uśmiechając się przymilnie, Bo złapał ją za rękę. – Kupisz mi ciastko?

Dziewczynka czule uszczypnęła go w policzek, ale przecząco pokręciła głową.

– Nie! – powiedziała zdecydowanie i pociągnęła go dalej.

Sklep elektroniczny, który odkrył Prosper, był malutki. Na wystawie obok ekspresów do kawy i tosterów leżało także kilka zabawek, na których widok Bo przystanął zafascynowany.

– Ale ja jestem głodny! – mruknął i oparł ręce o szybę.

– Ty zawsze jesteś głodny – stwierdził Prosper. Otworzył drzwi i obaj z Bo zatrzymali się przy wejściu, a Osa podeszła do lady.

– *Scusi* – odezwała się do starszej kobiety, która odwrócona do niej plecami wycierała kurz z radioodbiorników. – Potrzebne mi są baterie. Dwie, do małego radia.

Kobieta zapakowała je do torebki, a potem przesunęła po ladzie w kierunku Osy garść cukierków.

– Jaki słodki chłopczyk – powiedziała, mrugając do Bo. – Jasnowłosy aniołek. Czy to twój brat?

– Nie. To moi kuzyni. Są tu tylko z wizytą.

Prosper usiłował zasłonić Bo, ale malec przemknął mu pod ramieniem i zgarnął cukierki z lady.

– *Grazie!* – podziękował, uśmiechnął się i w podskokach wrócił do brata.

– *Un vero angelo!* – zachwycała się sprzedawczyni, chowając do kasy pieniądze. – Ale jego matka powinna mu zacerować spodnie i mogłaby już zacząć go cieplej ubierać. Idzie zima. Nie słyszeliście dziś wiatru w kominach?

– Zajmiemy się tym – powiedziała Osa i włożyła baterie do wypchanej torby z zakupami. – Miłego dnia, *signora*.

– *Angelo!* – Prosper drwiąco pokręcił głową, znów przepychając się przez tłum. – Powiedz, Bo, dlaczego wszyscy tak rozplývają się nad twoimi włosami i okrągłą buzią?

Ale młodszy brat pokazał mu tylko język, wepchnął kolejnego cukierka do ust i pobiegł dalej w podskokach. Zwinny jak wiewiórka prześlizgiwał się szybko między brzuchami i nogami przechodniów.

– Zwolnij, Bo! – krzyknął za nim zdenerwowany Prosper.

– Zostaw go! – powiedziała ze śmiechem Osa. – Przecież nie zginie. Widzisz? Jest tam, z przodu.

Malec znów wykrzywił się do nich. Usiłował właśnie skakać na jednej nodze dookoła leżącej na ziemi pomarańczy, ale potknął się i przewrócił, wpadając na grupę japońskich turystów. Przestraszony szybko się podniósł i szeroko uśmiechnął. Dwie kobiety wyciągnęły aparaty fotograficzne,

zanim jednak zdążyły mu zrobić zdjęcie, Prosper chwycił brata za kołnierz i niezbyt delikatnie pociągnął za sobą.

– Jak często mam ci mówić, żebyś nie pozwalał się fotografować? – zasyczał.

– No wiem o tym, wiem. – Mały odepchnął jego rękę i przeskoczył nad pustym pudełkiem po zapalkach. – Ale to przecież byli Chińczycy. A ciotka Estera na pewno nie ogląda zdjęć Chińczyków, prawda? Poza tym już dawno znalazła sobie jakieś inne dziecko. Sam tak powiedziałeś.

Prosper kiwnął głową.

– Tak, tak, masz rację – mruknął, ale jednocześnie rozejrzał się wokół, jakby podejrzewał, że ich ciotka czai się gdzieś w tłumie i tylko czeka, by złapać Bo.

Osa zauważyła spojrzenie Prospera.

– Znów myślisz o ciotce, tak? – zapytała ściszone głosem, mimo że Bo nie mógł ich usłyszeć. – Zapomnij o niej, na pewno już was nie szuka. A jeśli nawet, to nie tutaj.

Prosper wzruszył ramionami, jednocześnie bacznie przyglądając się mijającym ich kobietom.

– Chyba nie – mruknął.

– Na pewno nie – powtórzyła z przekonaniem Osa. – Przestań się wreszcie zamartwiać.

Wiedział, że Osa ma rację, ale nie potrafił przestać się martwić. Jego młodszy brat sypiał spokojnie jak kociak, jemu każdej nocy śniła się Estera. Ponura, zawsze dokąś pędząca z lepkiemi od lakieru włosami ciotka Estera.

– Hej, Prop! – Nagle pojawił się przed nimi Bo trzymający w ręku gruby portfel. – Popatrz, co znalazłem!

Prerażony Prosper wyrwał mu portfel z ręki i pociągnął brata do ciemnego przejścia pod arkadami. Zatrzymał się

dopiero za stosem pustych skrzynek po warzywach, gdzie gołębie wydziobywały resztki jedzenia.

– Skąd to masz?

Nachmurzony Bo wydał wargi i oparł głowę na ramieniu Osy.

– Znalazłem! Przecież powiedziałem. Wypadł jednemu łysemu z kieszeni spodni. On nic nie zauważył, no i wtedy go znalazłem.

Prosper westchnął. Od kiedy odpowiadał za siebie i Bo, musiał nauczyć się kraść. Najpierw coś do jedzenia, potem pieniądze, jednak nienawidził tego. Tak się bał, że trzęsły mu się ręce, ale Bo traktował to jak jakąś ekscytującą grę. Prosper zabronił mu kraść i za każdym razem, gdy tylko go na tym przyłapał, okropnie krzyczał na niego. Nie chciał, by Estera mogła kiedyś powiedzieć, że zrobił ze swojego brata złodzieja.

– Przestań się denerwować, Prop – powiedziała Osa i przytuliła Bo do siebie. – Mówi przecież, że nie ukradł. A właściciela już dawno nie ma. Zobacz lepiej, ile jest w środku.

Prosper z wahaniem otworzył portfel. Ludzie przybywający do księżycowego miasta ciągle coś gubili. Zwykle były to tylko wachlarze albo tanie maski karnawałowe, które sprzedawano na każdym rogu. Ale od czasu do czasu zrywał się pasek jakiegoś aparatu, z kieszeni czyjejś kurtki wypadał plik banknotów albo właśnie taki gruby portfel. Prosper niecierpliwie sprawdzał przegródki, jednak między pomiętymi paragonami sklepowymi, rachunkami z restauracji i biletami na *vaporetto* było tylko kilka tysiąclirowych banknotów.

– Trudno. – Osa nie kryła zawodu. – Nasza kasa jest prawie pusta, ale być może Król Złodziei znów ją napełni dziś wieczorem.

– Jasne, że tak! – Bo patrzył na Osę, oburzony jej powątpiewaniem. – I ja kiedyś mu pomogę! Też będę wielkim złodziejem! Już Scipio mnie nauczył!

– Po moim trupie! – burknął Prosper, pociągając Bo niezbyt delikatnie z powrotem w stronę uliczki.

– Ach, pozwól mu gadać! – szepnęła Osa, podczas gdy Bo maszerował przed nimi z obrażoną miną. – Chyba że naprawdę się boisz, że Scipio mógłby go ze sobą zabrać?

Prosper pokręcił przecząco głową, ale na jego twarzy wciąż malowała się troska. Jakże trudno było uważać na Bo. Odkąd wymknęli się z domu dziadka, przynajmniej trzy razy dziennie zadawał sobie pytanie, czy dobrze zrobił, zabierając młodszego brata. Jak bardzo zmęczony był tamtej nocy malec idący obok niego! Przez całą długą drogę do dworca ani razu nie puścił dłoni starszego brata. Dostać się do Wenecji było łatwiej, niż sądzili, ale zaczęła się właśnie jesień i nie było już tak ciepło i przyjemnie, jak sobie wyobrażali. Gdy wysiedli na dworcu w Wenecji, obaj zbyt lekko ubrani, nieposiadający nic poza plecakiem i małą torbą, powitał ich przejmujący, wilgotny wiatr. Kieszonkowe Prospera szybko się wyczerpało i po drugiej nocy spędzonej na mokrych uliczkach Bo zaczął kaszleć – tak strasznie, że zdesperowany Prosper rozglądał się już za jakimś policjantem. „*Scusi* – chciał powiedzieć łamanym włoskim – uciekliśmy z domu, ale mój brat jest chory. Czy mógłby pan zadzwonić do mojej ciotki, żeby go zabrała?”

Tak bardzo był zrozpaczony. Ale wtedy zjawiała się Osa.

Zabrała ich do kryjówki, do Riccia i Moski, gdzie dostali suche ubrania i coś ciepłego do zjedzenia. I powiedziała Prosperowi, że już nie muszą kraść ani głodować, bo będzie

się nimi opiekował Scipio, Król Złodziei. Tak jak opiekował się Osą i jej przyjaciółmi, Ricciem i Moscą.

– Na pewno już na nas czekają. – Słowa Osy wyrwały Prospera z zamyślenia, tak że przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Na wąskiej uliczce pachniało kawą, ciastem i myszami.

W ich domu pachniało zupełnie inaczej.

– Właśnie. A jeszcze musimy posprzątać – stwierdził Bo. – Scipio nie lubi, jak jest brudno.

– Co ja słyszę! – zadrwił Prosper. – A kto wczoraj przewrócił kubek z brudną wodą?

– A myszom po cichu wyklada ser – zachichotała Osa, aż zdenerwowany Bo dał jej kuksańca w bok. – Król Złodziei niczego tak bardzo nie lubi jak mysich odchodów. Niestety, kryjówka, którą nam załatwił, jest ich pełna, a do tego trudno ją ogrzać. Może trochę mniej wytworna byłaby bardziej praktyczna, ale Scipio nie chce nawet o tym słyszeć.

– Kryjówka pod Gwiazdami – poprawił ją Bo i pobiegł do przodu. Skręcili właśnie w mniej zatłoczoną uliczkę. – Scipio mówi, że ona się nazywa Kryjówka pod Gwiazdami.

Osa wzniosła oczy do nieba.

– Uważaj, bo niedługo Bo będzie słuchał tylko tego, co mówi Scipio – szepnęła Prosperowi do ucha.

– Co ja mogę na to poradzić? – westchnął Prosper.

Dobrze wiedział, że tylko dzięki Scipiovi nie musieli już sypiać na ulicy, i to teraz, gdy po zachodzie słońca nad kanałami snuła się wilgotna, szara mgła. Dzięki włamaniom Scipia mieli pieniądze i mogli dziś kupić makaron i warzywa. Scipio załatwił też dla Bo ciepłe buty, nieważne, że trochę za duże, i to Scipio dbał o to, by mieli co jeść,

a nie musieli kraść. I to on zaofiarował im dom – dom, w którym nie było Estery. Ale Scipio był złodziejem.

Uliczki stawały się coraz węższe i bardziej ciche. Nagle znaleźli się w ukrytym sercu miasta, dokąd rzadko zapuszczali się obcy. Co rusz sprzed ich nóg uciekały koty. Na dachach gruchały gołębie, a pod mostami i mostkami chlupotała woda, liżąc łodzie i drewniane bale. W jej czarnym lustrze odbijały się fasady starych domów. Dzieci coraz głębiej i głębiej zapuszczały się w plątaninę ulic, mijały przytulone do siebie, pochylone budynki, które przypominały jakieś kamienne stwory. Dom, w którym mieli swoją kryjówkę, przywodził na myśl dziecko stojące wśród dorosłych – był niższy od innych, płaski i bez żadnych ozdób.

Okna miał zabite gwoździami, na murach wisiały wyblakłe już plakaty filmowe, a szeroka, pordzewiała roleta zamykała drzwi wejściowe. Nad nimi krzywo zwisały neonowe litery układające się w napis STELLA. Neon opuszczonego kina, które zupełnie nie pasowało do starego miasta, już dawno nie świecił. Ale to tylko cieszyło tych, którzy się teraz w nim ukrywali.

Osa rzuciła baczne spojrzenie najpierw w prawo, potem w lewo, Prosper upewnił się też, czy nikt ich nie obserwuje z okien powyżej, po czym wszyscy troje, po kolei, zniknęli w wąskim korytarzu, który znajdował się tylko kilka kroków od głównego wejścia.

Byli w domu.



## Kryjówka

Ostrożnie stąpali w dół wąskim przejściem, a wystraszony szczur wodny umknął im spod nóg. Podobnie jak wiele ulic i uliczek w mieście, tak i ta droga prowadziła do kanału, ale Osa, Prosper i Bo doszli tylko do metalowych drzwi tkwiących po prawej stronie w pozbawionym okien murze. Ktoś krzywo wypisał na nich: Vietato l'ingresso – wstęp wzbroniony. Przed wielu laty było to jedno z wyjść ewakuacyjnych z kina, teraz zaś znajdowała się za nimi kryjówka, o której wiedziało tylko sześcioro dzieci.

Prosper pociągnął dwa razy za sznur dyndający obok drzwi, odczekał moment i pociągnął jeszcze raz. Był to umówiony znak, ale minęła dłuższa chwila, nim usłyszeli trzask odsuwanej rygli.

Zniecierpliwiony Bo przestępował z nogi na nogę, ale wreszcie drzwi lekko się uchyliły.

– Hasło? – zapytał podejrzliwy głos.

– Daj spokój, Riccio, przecież wiesz, że nigdy nie możemy go zapamiętać! – szepnął gniewnie Prosper.

A Osa zbliżyła się do szczeliny i syknęła: